



NUMER



191



PORADNIK

KULTURALNO-OŚWIATOWY



1956



T R E Ś Ć

	Str.
Feliks Bielski: Wychowanie obozowe	1
ŚWIETLICA	
Kazimierz Schleyen: Schronienie w czasie burzy	2
Teodozja Lisiewicz: Diabeł teatralny	5
WIECZORNICE	
Michał Bałucki: Grube ryby, akt III	8
Od Redakcji	12
WIADOMOŚCI	
NOWE WYDAWNICTWA	
Zofia Romanowiczowa: Baśka i Barbara	13
Z ŻYCIA YMCA	
Józef Bednarek: Istota członkostwa Polskiej YMCA	14
Działalność bieżąca Sekcji Wielkobrytyjskiej	16
Obóz letni Polskiej YMCA	3 okł.

PRENUMERATA: Rocznie — £1 sh. 1. Półrocznie — sh. 12.

Cena numeru pojedynczego sh. 2, podwójnego sh. 4 wraz z przesyłką.

We Francji: Comité d'Action YMCA en France, Sekcja Polska, 13, Avenue Raymond Poincaré, Paris 16-e.

PRENUMERATA: Roczna 700 frs., półroczna 360 frs. Cena numeru pojedynczego 60 frs., podw. 120 frs.

OGŁOSZENIA: 1/1 str. — £15. 1/2 str. — £8. 1/4 str. — £4. 1/8 str. — £2.

Rękopisów niezamówionych i niezastrzeżonych Redakcja nie zwraca.

Printed by N. MacNeill & Co., Press Ltd., 127, Walworth Rd., London, S.E.17.

P O R A D N I K KULTURALNO-OŚWIATOWY

ADVISER FOR EDUCATIONAL AND SOCIAL WORKERS

Nr 191
Rok 16

Wydawca: Polska YMCA w Wielkiej Brytanii
46/47, Kensington Gardens Square, London, W.2.

Lipiec
1956

FELIKS BIELSKI

W Y C H O W A N I E O B O Z O W E

Szkołom polskim nie łatwo współzawodniczyć z obcymi poza krajem ojczystym. Przede wszystkim zazwyczaj rozporządzają nader skromną ilością czasu, — jakimś jednym rankiem czy popołudniem na tydzień. Na bogate wyposażenie liczyć nie mogą, choćby z tego względu, że muszą tulić się w jakimś zakątku, wynajmowanym wyłącznie na czas nauki. Co do podręczników, pod względem szaty zewnętrznej przedstawiają się skromniej, niż np. wydawnictwa angielskie, jeśli są w ogóle do uzyskania. Pomysłowy nauczyciel nawet w tych skromnych warunkach potrafi dokonać wiele, ale nie wolno oczekiwać od niego cudów, nawet w tym szczęśliwym wypadku, jeśli w pomoc przychodzi mu rodzice i całe miejscowe społeczeństwo.

Na szczęście istnieją inne środki oddziaływania na młodzież, kto wie, czy nie równie skuteczne, a w każdym razie na pewno mocniej utrwalające się w pamięci. Już od dawna dostrzeżono, że dobrze spędzone wakacje przyczyniają się do rozwoju dziecka więcej, niż całoroczna nauka w normalnych warunkach. Od nas zależy, w jaki sposób zdołamy tę szansę wakacyjną pod względem wychowawczym wyzyskać.

Nie będzie chyba przesadą, jeśli wśród różnych sposobów właściwego pokierowania wakacjami na pierwszym miejscu postawimy obozy. Odrывают one chłopców i dziewczęta od zwykłego otoczenia dając im możliwość zetknięcia się z przyrodą. Dzięki współżyciu z rówieśnikami stwarzają najlepsze warunki dla wyrobienia społecznego i stają się początkiem serdecznych, przyjaznych związków. Jeżeli do tego potrafiamy wytworzyć prawdziwie swojską, rodzimą atmosferę, uzyskamy możliwość dostarczenia obozowcom niezatartych wrażeń, pozostających na całe życie.

Nie ma w tych słowach nic z przesady. Niedawno odbyły się egzaminy z języka polskiego, zorganizowane przy jednym z uniwersytetów brytyjskich,

Zdający otrzymali jako jeden z tematów opis wczasów wakacyjnych. I cóż się okazało? Osoby, które ten temat wybrały, nie pisały o wygodach pobytu w wygodnych hotelach, ani o przejażdżkach z rodzicami, lecz właśnie o życiu obozowym. Zarówno chłopcy, jak i dziewczęta chwaliли sobie nawet niewygody, uważając je za rodzaj urozmaicenia. Niektórzy na miejsce naczelnie wysuwali wspólne ogniska i pogadanki. Inni kładli nacisk na zawody sportowe i rozrywki. Wszyscy bez wyjątku wyrażali żal, że obóz trwał za krótko, i dawali do zrozumienia, że najbliższe ferie pragnęliby spędzić w podobnych okolicznościach.

Wiadomo, że ze zwinięciem namiotów obozowych nie kończy się współżycie jego współuczestników. Jeśli należą do jakiejś organizacji, która obóz zorganizowała, utrzymują z nią później niezachwianą łączność. Korespondują ze sobą wzajemnie i spotykają się na zbiórkach. Czują się członkami wspólnej rodziny, a za jej pośrednictwem kojarzą oje życie osobiste z całą społecznością.

Nauczanie podczas obozu ma zupełnie inne podłoże, niż na normalnych lekcjach. Staje się naturalną wymianą wiadomości między uczestnikami o większym doświadczeniu i nowicjuszami. Mowa obca skazana jest oczywiście na banicję i język polski dochodzi do pełni praw i przywilejów; kto nie daje sobie z nim rady, musi przystosować się co rychlej do otoczenia. Rozumny pedagog ma w tych warunkach niezwykle wdzięczne i owocne pole do pracy.

Wchodzimy właśnie w okres wakacyjny. Byłoby dobrze, abyśmy zdołali go wypełnić gwarem polskiego życia obozowego. Ponieważ liczba dzieci, których ta akcja dotyczy, wzrasta z roku na rok o całe tysiące kandydatów, potrzebny będzie wielki wysiłek zbiorowy, aby nikomu nie stała się krzywdą skutek odrzucenia z listy obozowców.

SWIETLICA

technika pracy — zagadnienia kulturalne i oświatowe

KAZIMIERZ SCHLEYEN

SCHRONIENIE W CZASIE BURZY

Znaleźliśmy się na wychodźstwie w Anglii w sposób bardzo dziwny, niezwykle, nie emigrancki i sposób ten bardzo istotnie zaciążył na osobistym losie każdego z nas, przynajmniej w pierwszych latach pobytu na obcej ziemi. Normalnie emigrant wybiera miejsce przyszłego pobytu, zebrawszy o nim uprzednio wszelkie dostępne mu informacje, a po przybyciu wie o tym, że jest zdany wyłącznie na swoje własne siły nie żywi pretensji do wybranych przez siebie gospodarzy. Z nami było inaczej. Jak przed burzą człowiek szuka najbliższego schronienia, tak i my w burzy dziejowej chroniliśmy się tam, gdzie nas wojna zaskoczyła. W jedną noc 1945 roku, jedną decyzją mocarstw zachodnich z gością — i towarzyszy broni, zamieniliśmy się na wychodźstwo. Większość zamieniła „miejsce postoju“ na „miejsce pobytu“ i została tam, gdzie ją los wygnańczy przypadkowo rzucił. Jedni w Londynie, drudzy w Szkocji, inni w obozach prowincjonalnych, zamienionych później na hostele, rozpoczęli nową część życia. Ta ważna, lecz przypadkowa okoliczność zadecydowała o losie niejednego z nas, który potoczyłby się inaczej, gdyby burza zastała nas w innym schronisku, wśród innych ludzi.

PIERWSZE LATA W W. BRYTANI

Początkowy okres pobytu wychodźczego na wyspie zastał nas zupełnie nieprzygotowanych i zaskoczonych nową sytuacją. Nikt nie wierzył, że wygnanie może potrwać tak długo. Oczekiwano, że coś się wkrótce stanie. Wojna wybuchnie we środe po południu, albo na wiosnę, najpóźniej za rok. Myśl nie mogła pogodzić się z wytworzonym stanem rzeczy. Pierwszą reakcją był bunt, który zwracał się głównie przeciw gospodarzom. W nie kończących się dyskusjach głównym zarzutem, stawianym przez nas, była „niewdzięczność“.

Już w tym leżał błąd. W polityce nie ma wdzięczności. Znaleźliśmy się w społeczności, która uznaje obowiązek, a nie zna wdzięczności nawet wobec własnych bohaterów. Inaczej dzieje się w innych krajach, gdzie osobiste zasługi, słusznie czy nie-

słusznie, zapewniały nagrodę w postaci posad, koncesyj i pensyj. Jakże mogliśmy się spodziewać specjalnych objawów wdzięczności wśród narodu, którego własny, zasłużony oficer bez szemrania zajmował przed kinem czy hotelem stanowisko odźwierzynego, strojny w mundur portierski z rzędem odznaczeń wojennych.

Bunt przerodził się w przesadny krytycyzm wobec obcych i swoich i stał się poważnym hamulcem w przystosowaniu się do nowych warunków bytu. Następtwem była m.in. niechęć do nauki języka angielskiego. Słyszało się nieraz: „Niech Anglicy nauczą się po polsku“. Trudno stwierdzić, ile w tym było obrażonej dumy, ile innych pobudek, ale wyniknęła stąd szkoda dla tych, których losy przykuły do obcej ziemi.

Różne urazy pokutują i nadal w tej lub innej formie. Na wychodźstwie wyszła na jaw jaskrawo nasza wada narodowa, że koniecznie **chcemy mieć rację**. Polak gotów jest odważnie narazić własne życie, ale racji, słuszności się nie wyrzeknie. Czy warto przekonanie to podtrzymywać? Ciągłe mamy rację i mało z tego pożytku. Przecież nie o to chodzi, by mieć rację, lecz żeby było dobrze i by drogi, wiodące do godziwego celu, były również godziwe.

Jaki był stosunek Anglików do nas w tej pierwszej fazie naszego „wygnania“? Dziś możemy już stwierdzić, że poprawny, chociaż chłodny i obojętny. Przypatrywano się nam z pewnym niedowierzaniem, bo znak dobrego żołnierza nie jest dla tubylców gwarancją zalet dobrego obywatela. Z początku istotnie nie rozumieli, dlaczego nie wracamy do Kraju. Zapytywano mnie w towarzystwie angielskim:

— Dlaczego pan nie wraca do Polski?

Miałem w zapasie sporą dozę jasnych argumentów. Ale czy warto było je przytaczać? Czy znajdując zrozumienie i co z tych argumentów utkwii w pamięci? Odpowiedziałem krótko:

— Ponieważ jestem probrytyjski.

Zainteresowali się bardzo.

— Czy to znaczy, że ci Polacy, którzy wracają do kraju, są antybrzytyjscy?

— Nie. Tylko oni stracili wiarę w was, a ja jeszcze nie.

Okazało się, że takie postawienie sprawy było lepsze od długich wywodów. Do każdego bowiem trzeba przemawiać w jego własnym języku i na sposób, który trafia do przekonania, choćby argument nie był w naszych oczach dostatecznie mocny i szczyry.

DRUGI OKRES WYCHODZSTWA

Okres ten datuje się od rozwiązania PKPR i od czasu, gdy Polacy w miejscach osiedlenia zaczęli pracę zarobkową. Już w tym okresie od razu utworzyły się cztery główne grupy.

WŁAŚCICIELE NIERUCHOMOŚCI

Pierwszą grupę stworzyli ci, którzy dysponowali oszczędnościami z czasu wojny. Większość ułokowała swój kapitał w zakupionych nieruchomościach. Za obraniem takiej drogi przemawiało wiele słusznych argumentów. Nie znali dostatecznie języka, by wejść w społeczeństwo, nie mieli zawodu, który mogliby z powodzeniem uprawiać na obcej ziemi, a wreszcie pragnęli załatwić trudny problem mieszkaniowy rodziny. W ten sposób powstała pożądana grupa polskich właścicieli domów, choć niewątpliwie nawet dziesiąta ich część domów w Polsce nie posiadała. Wiadomości o tym oceniono w Kraju błędnie i fama o „bogatej“ emigracji była przesadna. Ani trzyokienne domki angielskie nie odpowiadają pojęciom naszych domów, ani właściciele nieruchomości nie są „kamienicznikami“ według naszych dawnych pojęć. Posiadanie domów w Anglii jest rzeczą problematyczną. Zazwyczaj jest to właściwie dzierżawa, a wieloletnie obciążenia pożyczkowe pożerają znaczną część dochodów. Wysokie opodatkowanie i okoliczność, że Polacy na ogół przepłacili domy, sprawia, że nie zrobili dobrego interesu. Niemniej w danej sytuacji decyzja była słuszna. Włożywszy wiele pracy i trudów we własną „posiadłość“ na ogół stan posiadania nie tylko utrzymali, lecz nawet powiększyli.

Znacznie gorzej wyszli Polacy na zakupie farm. Większość z nich nie utrzymała się na roli, mimo, że wnieśli bogate doświadczenie z Kraju. Jest to nauka na przyszłość, że dla powodzenia fachowość nie wystarczy i niezbędna jest dokładna znajomość lokalnych warunków. Druga, bardzo ważna nauka wypływa ze smutnego doświadczenia rolników, a także innych niefortunnych przedsiębiorców. Można ją zamknąć w powiedzeniu: „Według stawu grobla“. Brak dostatecznego kapitału zakładowego czy obrotowego stać się może grobem przedsiębiorstwa. Jeden nieprzewidziany większy wydatek lub nie spodziewana strata spowodować może ruinę.

STWORZYĆ POLSKĄ PLACÓWKĘ FINANSOWĄ

Doświadczenie upadku przedsiębiorstw rolnych i przemysłowych, mimo fachowej i rzetelnej pracy, spowodowane brakiem dostatecznego kapitału, nasuwa wniosek: **Bardzo pożądane jest stworzenie polskiej instytucji finansowej.** Upadały polskie przedsiębiorstwa, które można było uratować stosunkowo małą sumą pieniędzy. Udzielenie takiego kredytu mogłoby ocalić włożony kapitał i paroletnią pracę oraz utrzymać polską placówkę.

Polska instytucja finansowa mogłaby finansować również nowe polskie przedsiębiorstwa. Polacy mają dużo pomysłowości, zmysł ulepszenia i improwizacji, który środowisko angielskie posiada w bardzo małym stopniu. Niestety, gdy znajdują się dobrzy fachowcy i pracownicy, inicjatywę ich unicestwienia brak kapitału.

Projektowana instytucja mogłaby również zaopiekować się bardzo rozległym polskim chałupnictwem.

Pomysł ten nie jest mrzonką i leży w granicach polskich możliwości. Szersze jego omówienie przekracza ramy naszych rozważań. Można jedynie stwierdzić po krótko, że ilość pieniędzy polskich instytucji, stowarzyszeń, przedsiębiorstw i osób pojedynczych, która przechodzi rocznie przez banki angielskie, sięga **wielu milionów funtów szterlingów.** Przeprowadzenie choćby dziesiątej części tej sumy przez polską instytucję finansową zapewniłoby jej pomyślny rozwój. Realizacja takiego planu wymaga znacznych kapitałów — i takie możliwości posiada Polonia amerykańska.

Ktoś może zarzucić: „Pomysł dobry, lecz po co budzić nadzieje, których sami nie możemy urzeczywistnić. Czy warto o tym pisać?“ Warto — i to dla dwóch powodów. Po pierwsze, nigdy nie wiadomo, jakimi drogami dotrze inicjatywa do ludzi, którzy posiadają środki. Po drugie, nawet prosty pomysł łączenia kapitałów nie został dotychczas wyzyskany przez Polaków w W. Brytanii. Prawda, że na ogół spółki polskie nieraz wiodły do nieporozumień, ale ostatecznie najlepszy pomysł może obalić złe wykonanie. Stały i pomyślny rozwój ruchu spółdzielczego w Kraju przed wojną coraz bardziej przekonywał ludzi do tego systemu współpracy. Ustawodawstwo angielskie stwarza ramy dla zdrowej organizacji spółdzielczej.

W czasie wojny w oddziale moim służył starszy wiekiem ochotnik z dalekiej Argentyny, który za młodu opuścił ziemię łomżyńską. Ciekawie opowiadał o warunkach życia w Argentynie. W jakimś małym miasteczku był właścicielem sklepu spożywczego. Sporo jest tam Polaków, Niemców zaś zaledwie połowa. „Cinżko jest — powiada — Szwabom lepiej się powodzi. Banczek majom, kupy się trzymajom, a nasi ino sie kłócom“.

Wszędzie to samo.

NA WŁASNYM GARNUSZKU

Druga grupa obejmuje osoby pracujące samodzielnie. Najszczęśliwsi — to garstka tych, którzy mogli podjąć pracę zawodową wybraną w Kraju. Do nich należą przede wszystkim lekarze, farmaceuci i dentyści. Na pochwałę społeczeństwa angielskiego stwierdzić należy, że bez niedowierzania udali się pod opiekę polskich lekarzy. Również polskie sklepy spożywcze czy kawiarenki z łatwością i szybko zdobyły angielską klientelę. Natomiast samo polskie wychodźstwo nie popiera dostatecznie polskich rzemieślników. Niestudnie, bo polski rzemieślnik jest sumienny, łatwiej zrozumie gusty i potrzeby rodaków, a przede wszystkim jest bardziej punktualny od angielskiego.

Zasługą polskich przedsiębiorców jest to, że przyczyniają się do „kontynentalizacji“ W. Brytanii, co było już nawet życzliwie rozważane w radio angielskim. Odkąd człowiek zaczął coraz skuteczniej wygrywać walkę z czasem i przestrzenią, W. Brytania z dnia na dzień coraz bardziej przestaje być wyspą w dawnym znaczeniu. Przeobrażenia są nieuchronne, chociaż izolacyjne opory nawet przeciw gustom i smakom kontynentu są jeszcze dość głęboko zakorzenione. Ta tendencja do coraz większego „europizowania się“ W. Brytanii otwiera bardziej pomysłowym i przedsiębiorczym Polakom niezmiernie rozległe pole do inicjatywy, a nawet szybkiego wzbogacenia się. Zastrzeżenie, że Anglicy nie lubią nowatorstwa, jest słuszne, ale tylko częściowo. Bardzo niechętnym wzrokiem patrzą na wszelkie próby choćby korzystnych zmian u siebie, w swym własnym, funkcjonującym przedsiębiorstwie. Im starsza firma, tym ostrzej oponować będzie, wychodząc z założenia, że tak było za ojców i było dobrze. Anglikowi trzeba „zaserwować“ rzecz zupełnie gotową i jeżeli będzie lepsza lub tańsza — potrafi ocenić ją rzeczowo.

ZATRUDNIENI U OBCYCH

Największą grupę wychodźców stanowią pracownicy fizyczni. Złożyło się na to wiele powodów. Popyt na pracę rąk zawsze jest duży i pracę taką znaleźć łatwo. Dzięki dobrze zorganizowanym związkom zawodowym płaca jest większa niż w innych dziedzinach pracy. Brak dostatecznej znajomości języka nie stanowił przeszkody w uzyskaniu pracy nie wymagającej specjalnego przygotowania fachowego. Wreszcie w tej dziedzinie nie stawia się granicy wieku. Ten sam Polak, który jest uważany za zdolnego do pracy fizycznej, byłby już „za stary“ do pracy biurowej czy administracyjnej, gdyby był młodszy nawet o dziesięć lat. Ten dziwoląg ma na sumieniu bardzo przykre skutki, zwłaszcza dla rodaków starszych roczników, i pochłonął już wiele ofiar.

Pracy rąk musieli się imać liczni zawodowi woj-

skowi, urzędnicy, prawnicy, naukowcy, którzy nigdy nie trudnili się pracą fizyczną. Wejście na tę drogę w zaawansowanym wieku, a zwłaszcza praca nocna, która prowadzi do zupełnego przestawienia życia codziennego, przerosła własne siły wielu jednostek. Gdy się raz weszło w kierat codziennej, wyczerpującej pracy, zapewniającej znośny byt, nie starczało czasu ani energii dla znalezienia lżejszej pracy zarobkowej.

Liczebnie małą grupę stanowią tak zwani w Anglii „białokołnierzy“ — pracownicy kancelaryjni i administracyjni. Wprawdzie posady tego rodzaju są stosunkowo gorzej płatne, ale przeważnie okazują się pewniejsze. Prędzej zwalniali się pracownika fizycznego, niż umysłowego, który zdobył potrzebną na danym stanowisku rutynę.

POLAK W PRACY U ANGLIKA

Polak jako pracownik jest przeważnie oceniany rzeczowo. „Forejnerskie“ uprzedzenia grają tu mniejszą rolę niż w innych państwach i na pewno mniejszą niż w naszym własnym społeczeństwie. Uprzedzenia są silniejsze ze strony współpracowników niż przełożonych, i to nie bez uasadnienia. Mimo wieloletnich doświadczeń Polacy posiadają jedyną ogólną wadę: są zbyt gorliwi w pracy. Tego na pewno nie lubią koledzy, a przełożeni tej tak gdzie indziej cenionej zalety nie doceniają. Właściciele, którzy z gorliwości w pracy ciągną zyski, przeważnie robotnika nie widzą, a najrozmaitszym „formenom“ przeważnie jest to doskonale obojętne, czy praca zostanie dokonana szybciej czy wolniej.

Wadą prawdziwą jest nasze upodobanie do pochlebstw, które niestety popłaca w naszych środowiskach. Pewien oficer polski, czasowo pełniący służbę w wojsku angielskim, powtórzył mi swą rozmowę przy meldowaniu się u angielskiego przełożonego:

— Teraz, skoro odchodzę, panie majorze, proszę pana o szczerą opinię o mojej służbie.

— Byłem z pana bardzo zadowolony. Ale przecież pan wie, opinię, jaką napisałem o panu, podałem panu do wiadomości.

— Czy oprócz tego mógłby mi pan dać pewne wskazówki?

— Niewielką: niech pan się nie zgina. To u nas nie robi dobrego wrażenia. Przeciwnie, wzbudza podejrzenie.

Tak samo efekt zupełnie przeciwny od zamierzonego wywołuje opowiadanie o sobie. Kim było się dawniej, jakie zajmowało się stanowisko, jakie miało się zasoby — oto tematy, którymi Polak chętnie pragnie Anglikowi zaimponować. Skutek zwykle przeciwny. Pan „formen“ pokiwa głową, wypowie nawet kilka słów współczucia, ale przy najbliższej okazji jakąś drobnostką weźmie za objaw lekceważenia i będzie starał się pokazać, „kto

tu teraz jest przełożonym". Byłem świadkiem w Palestynie rozmowy w hallu hotelowym, w czasie której jedna uchodźczyni szeroko opowiadała portierowi o tym, co to ona miała w Polsce. Portiera to wreszcie zirytowało i odpowiedział:

— A czy pani wie, co ja dawniej miałem? To się nie liczy. Czy pani słyszała, żeby się ktoś zapytał: Jak się miałaś? Jak się masz, mówią, jak się masz“?

Tej drobnej, a nie przynoszącej pożytku próżności nie możemy sobie nieraz odmówić.

Niemile widziane są również wszelkie projekty nowatorskie. Anglicy nie lubią innowacji, pracują najchętniej według przyjętego szablonu. Brak im zresztą wyobraźni, za to są istotnie biegli w pracy zręczynowanej. Ta niechęć rozciąga się nawet na tych, którzy z nowych pomysłów mogliby wyciągnąć korzyść. Pewien Anglik, właściciel przedsiębiorstwa, zapytany o swego polskiego pracownika, odpowiedział mi:

— Dobry, wcale dobry, ale ciągle mnie nachodzi z nowymi pomysłami.

— Czy są one takie głupie?

— Może są i dobre, ale co mi z tego? Co więcej zarobię, to już pójdzie na podatki. Niezły pracownik, tylko kłopotliwy.

Z tego stanu rzeczy wynika, że W. Brytania jest krajem najmniej przydatnym dla polskiej pomysłowości — z tym należy się pogodzić. Z projektem można wyjść dopiero wtedy, gdy o to zapytają.

CHAŁUPNICTWO

Ilość Polaków trudniących się chałupnictwem, zwłaszcza w większych środowiskach, jest znacznie większa niż się na ogół przyjmuje. Jest to czwarta grupa zarobkowa. Dla jednych jest to jedyne, dla innych uboczne źródło dochodu. Do pracy wykonywanej w domu należą głównie wyroby skórzane (zwłaszcza lepienie pasków), jubilerskie, naprawa pończoch oraz wszelkiego rodzaju szycie w domu. Chałupnictwo krawieckie czasem wiedzie do usamodzielnienia się. Pozostałe zaś działy, a przede wszystkim rozpowszechnione lepienie pasków, są słabo płatne, mimo że polscy chałupnicy doszli niemal do perfekcji. Nadmierną ilość zarobku pochłania pośrednictwo. Czasem od polskiego warsztatu domowego do odbiorcy wiedzie łańcuch kilku pośredników, z których każdy zarabia.

W dziedzinie chałupnictwa jest duże pole do pracy organizacyjnej. Z łatwością mogą się tego podjąć poszczególne związki czy też poszczególne osoby. Zakup maszyn na przystępne raty jest stosunkowo małym wydatkiem i dobrą lokatą kapitału. Połączenie dziesięciu warsztatów chałupniczych w jeden pozwoli na bezpośrednie przyjmowanie hurtowych zamówień, omińnięcie zysków pośredników i znaczne podwyższenie dochodów pracowników. Kto podejmie się organizacji pracy chałupniczej, ten sam zarobi i przysłuży się innym.

TEODOZJA LISIEWICZ

D I A B E Ł T E A T R A L N Y

Dziś prawie nigdy się o nim nie mówi, chyba wspominając minione czasy, a emigracyjne, młode pokolenie aktorskie może nawet nie słyszało o diabie teatralnym? Ale dawniej bywało, że gdy się rozpętał, nie było już rady.

Nigdy nie można przewidzieć, kiedy nadejdzie, ani też jaką sztukę sobie wybierze, bo nie ma znaków ostrzegawczych sygnalizujących nadejście. Ostatecznie bardzo wytrawny obserwator mógłby z pewnych oznak wywnioskować, że coś wisi w powietrzu. Oto np. reżyser w sobotę mówi: pamiętaj, że jutro przedstawienie o drugiej. Rano? — pyta aktor. Już z takiego urywku rozmowy można by wyciągnąć przestrożę. Ale w teatrze tyle pada urywków rozmów na pozór bezsensownych, a pełnych sensu, że trudno się zorientować, który wróży niebezpieczeństwo.

Diabeł po prostu zjawia się niespodziewanie i wtenczas, żeby nawet cały sztab teatralny zmobilizować do pomocy, wszystko pójdzie na opak. Zdarza się, że nie ma go miesiącami, dwie, trzy sztuki

ominie, ale gdy wpadnie za kulisy, ręce bezradnie opadają. Najlepiej funkcjonujący mechanizm kurtyny czy zapadni zatnie się, nie wiadomo z jakich powodów, lub nieproszony zacznie działać w najmniej odpowiedniej chwili. Wytrawny elektrotechnik zapomni o światłach, puści reflektor słońca, gdy noc ma być na scenie, na południe włoskie rzuci snop księżycowy, a „dół“ czyli rampę naraz zgasi, gdy pomocnik inspicjenta, ni z tego ni z owego, do aktu drugiego każe ustawiać dekoracje z trzeciego. Zresztą sam inspicjent, ba, nawet reżyser, ulegają wtedy jakiemuś zaćmieniu. Aktorzy — przechodzi pojęcie, co się z nimi dzieje. Jeden nie nałoży peruki, drugi nałoży, ale krzywo, trzeci ucharakteryzuje tylko część twarzy nie zwracając uwagi na resztę, a czwartemu coś się tego dnia przekreśli, wtorek weźmie za piątek i wyjdzie z teatru w przekonaniu, że dziś nie ma przedstawienia. Trzeba w ostatniej chwili szukać zastępstwa. Zastępstwo zwykle skręca sobie nogę wszedłszy za kulisy. Wreszcie zjawia się właściwy aktor, dowiaduje się, co się stało, przebiera się nerwowo i na scenie zapomina roli,

choć zna ją doskonale i od dawna. Diabeł teatralny w takich momentach pasjami lubi wpaść do budki suflera i pomieszać kartki, a jeśli uda mu się inny tekst podsunąć, uciechę ma na cały wieczór. Podczas takich przedstawień garderobiana z reguły wypali żelazkiem dziurę w najpotrzebniejszym kostiumie, szminka zniknie ze stolika, aktorka potknie się o sznur, jakiego nigdy przedtem nie było, i zamiast wejść, wejdzie na scenę na nosie; w chwili dramatycznego napięcia akcji fotel załamie się pod dramatycznym amantem, a ściana, zwykle tak dobrze przysrubowana, nagle zacznie się chwiać pod naporem niewidzialnej siły i runie na parę kochanków. Trudno opisać, co się dzieje w teatrze, gdy przekora wpadnie i zacznie szaleć na scenie, za i pod nią, w garderobach, rekwizytorni, w pokoju fryzjera, nawet w kancelarii dyrektora. Nie ominie żadnego kąta, żadnego korytarza, na każdym stopniu schodów zastawi pułapkę.

Diabła widziałam dwukrotnie i przyznam, że znośnienie jego harców było ponad siły. Przedstawienie, na jakie przychodzi, zazwyczaj zaczyna się wyjątkowo gładko, bez wstrząsów, i widownia tego wieczoru zawsze bywa wypełniona, jakby na urągawisko, bo wszyscy widzieli, co się dzieje, i razem z diabłem mieli uciechę — aktorom na pohybel. Pamiętam, dawano w lwowskim teatrze „Trafikę pani generałowej“, spektakl coś pięćdziesiąty z rzędu. Dobrze się zaczęło. Widownia napuchła niby ciasto świąteczne, nawet dostawiane miejsca wysprzedano, aktorzy w doskonałych humorach, obeznani z każdą sytuacją i tekstem, że gdyby któregoś w nocy zapytać, przez sen by odpowiedział słowami roli. Czyli — wszystko jak najlepiej. I naraz przyleciała pierwsza jaskółka. Chłopiec hotelowy, który w ciągu akcji wpada od czasu do czasu do generalskiej trafikii po pudełko zapalek czy papiesorów, wpadł i poprosił — o pudełko „kogułków“. Sprawę jakoś zatuszowano i może nawet nie każdy widz zorientował się, że dziwne to żądanie w komedii wiedeńskiej, ale od tego też się zaczęło. Zaczęła się wielka scena Martini — Śliwiński (para amantów grająca wówczas główne role). Na wprost publiczności stał tapczan, na który amantka miała wskoczyć w ucieczce przed pocałunkiem. W pogoni za nią wskoczył amant. I oto tapczan załamał się z trzaskiem, ukazując publiczności amantkę na ziemi, przykrytą deskami, amanta zaś nad nią na czworakach, szamoczącego się z narzutą, w jaką się zaplątał nie wiadomo skąd i dlaczego. Amantka wiła się ze śmiechu, publiczność szalała z radości, bo dawno takiej uciechy nie miała, amant szalał pod narzutą, a reżyser zza kulis syknął: Kurtyna! bo innej rady nie było. Tymczasem kurtyna, wspaniała, mechanicznie zaciągana, dostojna, niezawodna, zacięła się w połowie drogi i ani w tę, ani w tamtą stronę. Przy otwartej scenie wydobyto amantkę spod desek, odmotano amanta i przedstawienie zaczęło się od miejsca, w jakim się przerwało. Wtenczas dopie-

ro kurtyna, ta mechaniczna i niezawodna, sama zasunęła się w toku akcji. Tego wieczoru w garderobie jedna z aktorek, zamiast pomadką, usta namalowała sobie czarną kredką, pomadki używając znow do powiek zamiast niebieskiej szminki. Garderobiana, przynosząc filiżankę czarnej kawy, postawiła ją w powietrzu, wobec czego kawa wylała się na podróźny kostium „charakterystycznej“ i ta musiała wejść na scenę w własnym płaszczu nieprzemakalnym, zapominając, że tego dnia deszcz padał i płaszcz był mokry. W pewnej chwili zatrwożona Generałowa miała zapytać Lekkomyślną Córkę, czy ta wyskoczyła z pociągu w biegu; zamiast tego, zapytała: — wyskoczyłaś z gorącej wody? Na to Lekkomyślna Córka odpowiedziała: — nie, spałam przecież. Jak życzył sobie tego diabeł, logika i sens dialogu podobały się publiczności.

Drugi wypadek na sztuce, której już nazwy dzisiaj nie pamiętam, raz na zawsze wyrył mi się w wspomnieniach teatralnych z powodu rewolweru, który miał wypalić i nie wypalił. Mimo nerwowego naciskania cyngla, strzał nie padł. Padł natomiast aktor, jak było przewidziane, ale padł rażony niewidzialnym gromem. Ktoś przyglądając się scenie zza kulis tak przejął się niewypałem, że nagle zawołał: „pif-paf!“ i by ratować sytuację, uderzył w gong. Inspicjent od tego stopnia stracił głowę, że w poczuciu odpowiedzialności za rekwizyty wbiegł na scenę, jak był, w kitlu roboczym, i zaczął majstrować koło rewolweru, przy fachowych uwagach zabitego. Kurtyna jednak w dół nie poszła. Mechanik rozmawiał właśnie z drugim mechanikiem, a reżysera w ogóle w teatrze nie było, ponieważ zdarzyło się to w niedzielę i po odbytej popołudniówce poszedł do domu, zapominając o wieczorze.

Tego już nie widziałam, opowiadano mi tylko, jak to podczas jednego z przedstawień „Orlątka“ Rostanda, w końcowej scenie, gdzie Maria Ludwika wraz z dworem kłęczy płacząc u wezłowią księcia Reichstandtu, za firankami, zasłaniającymi łóżko umierającego, rozsiadła się stara, wszystkim znana kotka teatralna, z rodziną. Kociaki bawiły się właśnie w łapankę i chowanego. Skąd wzięły się na scenie, skoro mieszkały na trzecim piętrze budynku?

Co diabeł teatralny może, a czego nie może, przekonałam się sama. Był to okres występów „Wesołej fali“ w lwowskim teatrze, trzydzieste chyba przedstawienie. Dopiero w czwartym czy piątym numerze występowałam w skeczu przy telefonie, wchodząc po Józiu Wieszczyku, gdy znow zaraz po mnie wchodził Wajda. Ubrana byłam w czarną suknię popołudniową, czarny, stożkowy kapelusz i etolę ze srebrnych lisów. Wytworność stroju ściśle wiązała się z treścią monologu, jaki wygłaszałam do słuchawki. Przyszedłszy do garderoby grubo wcześniej, gdyż zawsze wolałam przebrać się i ucharakteryzować bez pośpiechu, nałożyłam szlafrok, pa-

miętam, wiśniowy w białe kropki, włosy zebrałam na czubku głowy, by nie przeszkadzały przy nakładaniu szminki, twarz dokładnie wytarłam i pokryłam jasnym, niemal bezbarwnym podkładem tworzącym na razie trupio bladą maskę bez ust, brwi i oczu. Ładnie wyglądałam, nie można powiedzieć. Z tą chwilą zapomniałam o spektaklu, o sukni, o charakteryzacji. Byłam głodna i kazałam sobie przynieść kotlet cielęcy. Zaczęłam jeść spokojnie, jakby w bufecie kolejowym, kiedy to do odejścia pocągu ma się jeszcze dwie bite godziny przed sobą. Jakiś tam dzwonek zaterkotał nad drzwiami raz i drugi, ale kto by tam zwracał uwagę! Nawet trzeci nie wyprowadził mnie z równowagi. Kotlet był doskonały. Im więcej lat emigracyjnych narasta z biegiem czasu, tym kotlet wydaje się smaczniejszy. Dopiero trzask drzwi i wrzask: Lisiewicz na scenę! — przywrócił mnie do przytomności. — Nie jestem ubrana! Skreślić numer! — Jak stoisz, na scenę! — W mgnieniu oka na czubek z włosów reżyser wrzucił mi kapelusz. Podwinęłam tylko szlafrok w pasie, przytrzymując, otuliłam się lisami. Za chwilę z nonszalancją szłam ku budce telefonicznej, skąd nareszcie mógł wyjść Wieszczek. Dotychczas swoją kwestię powtórzył dwa razy w kółko i zabrał się do trzeciej kolejki. Weszłam. „Mochnacki, jak trup blady, siadł przy klawikordzie“... — później dzielił się Wieszczek wrażeniem, jakiego doznał na mój widok. Ścisnęłam nerwowo słuchawkę, trzymając co sił szlafrok i rzucając równocześnie błagalne spojrzenie w stronę, skąd miał nadejść Wajda. Kazika nie było. Końcowe słowa, na jakie miał się zjawić, powtórzyłam już dwukrotnie. Nie było go. Amanta, który bezpośrednio po mnie miał dzwonić do kolegi o pożyczkę, ani śladu. Kulisy, zazwyczaj dość ruchliwe, były wymiecione do czysta. Czulałam się w tej chwili jak we śnie, kiedy to idzie się ludną ulicą i nagle znajduje się w pustce, odosobnieniu, a krajobraz zmienia się w nieprzyjazne, martwe wzgórza. Kazik przepadł. Cierpliwy telefon drewniany i nieświadoma publiczność wysłuchały rozmowy o jakiejś na prędcę wynalezionej krawcowej, o filmie, o modniarce, nawet o przepisie na tort, który wywołał wybuch śmiechu; mówiłam o wszystkim, co myśl mogła w podobnym momencie wyprodukować. Ciągłe żadnego oddźwięku zza kulis. Wreszcie Kazik wszedł, nie, raczej wpadł, również blady. Mimo chęci najszybszego zniknięcia z sceny zauważyłam, że coś nie było w porządku. Kołnier od płaszcza podniesiony, pod brodą gruby, biały szalik, za jasne skarpetki do lakierków i czarnych, dziwnie za krótkich spodni, kapelusz mocno na oczy nasunięty. Równocześnie światła lekko przygasły. Zeszłam w półmroku. W garderobie opadłam na krzesło. Nawet lisy przylepiły się do szyi. Teraz zaczęłam się charakteryzować. Szklanka z kawą pękła bez przyczyny, zalewając szminki. Ktoś krzyknął na korytarzu. Stefania Zielińska potknęła się, jak utrzymywała, na desce i boleśnie

rozdarła pończochę. Zapasowej pary tego dnia nie wzięła. O jaką deskę? Korytarz kamienny i żadna deska na podłodze się nie wala! Szyję dałabym za to, że Zielińska potknęła się o deskę, bo deska była, tylko diabeł, który wdocznie tego dnia grasował w teatrze, deskę zaraz po wypadku schował.

Tymczasem Kazik... Grał najpierw w skeczu, potem występował ze mną przy telefonie i drugą część programu zaczynał we fraku, jako Szczepko ukazując się dopiero pod koniec. Tego dnia odwalił skecz Nr 1, zapomniał o następnym i wróciwszy do garderoby — sam nie umiał wyjaśnić dlaczego — rozebrał się zupełnie. Już bardziej rozebrać się nie można. I jak ja przy kotlecie, tak on po swojej stronie, niż Adam Pierwszy, zajął się ulubionym przysmakiem — chlebem ze smalcem. Na dzwonek nie reagował. To nie na niego. Za chwilę wpadł reżyser i wrzasnął: Wajda na scenę! — Kazik uczył smagnięcie zimna przez plecy i w głowie mu się rozjaśniło, chyba po to, by powstał w niej jeszcze większy zamęt. — Goły jestem, nie widzisz? Skreślić numer! — Nie ma co skreślać, bo Lisiewicz już buty z siebie wygadała! powiedział reżyser, chociaż myślał o duszy. — Daj kurtynę i już!

A był tam wielki przyjaciel Kazika, stary wyjadacz teatralny, charakteryzator i perukarz Rzeszutko. Ten znał się na wszystkim, co teatru tyczyło, żaden tajnik sceniczny czy zakulisowy nie był mu obcy. Wsiąkł był w teatr przez dziesiątki lat i przeszył nim do krwi, do kości, do mózgu. Słyszając i widząc, co się dzieje, warknął gromko znad chleba ze smalcem:

— A ty... rzu jeden! Co bądź na siebie i na scenę! Światła przyćmić!

W ułamkach sekundy wtoczył mu na bosc nogi lakierki, spodnie frakowe zacisnął w pasie krawatem i na głowę wcisnął czyjś kapelusz.

Skeczu nie skreślono, ani też kurtyna w dół nie poszła. Bo diabeł teatralny może sobie hasać, jednak diabelskie hasanki nie mogą pokonać aktora. Scena to wielka rzecz, a przedstawienie to wykonywanie praw wielkiej rzeczy. Aktor tak samo odpowiada za przedstawienie, jak dowódca dywizji za bitwę. Z tarca, lub na niej — teatr poucza, niczym Spartanka — ale nigdy bez niej. Z chwilą gdy ktoś choćby zaczepił o scenę, musi dotrwać, bo nie scena dla niego, tylko on jest dla niej.

Diabeł teatralny to stwór bez serca, przyśnić się może w malignie, ostatnie nerwy, jeśli jeszcze zostaną, zszarpie na obrzynki, ale — miło się go wspomina. Czy zjawia się kiedy na emigracyjnej scenie? Oj, zjawia się, zjawia, ale skromnie, nieznacząco, bo nawet Kusy umie uszanować wysiłek, jaki aktorzy w wolną scenę polską wkładają, i rozumie trudności, jakie starają się pokonać, by wytrwać. Nawet Kusy to pojmuje.

WIECZORNICE

materiały i pomoce

MICHAŁ BAŁUCKI

G R U B E R Y B Y

KOMEDIA W TRZECH AKTACH

A K T III

Pokój ten sam.

Scena pierwsza

DOROTA siedzi, FILIP stoi przy oknie. Później ONUFRY.

DOROTA (do Filipa): Cóż, nie widać jeszcze pana?
FILIP: Ani słychem, proszę pani.

DOROTA: Co to jest? Już blisko trzecia. Niech Walentowa ma dla pani obiad na blasze, bo lada chwila nadejdzie. Coś się stać musiało, bo przecież od czterdziestu lat, jak żyjemy z sobą, nie zrobił mi jeszcze tego, żeby nie przyjść na obiad... (Spostrzega wchodzącego), Nufciu, bóg się Boga, gdzie ty tak długo siedzisz? Ja czekam i czekam...

ONUFRY (w różowym humorze, całuje ją w rękę): Dorciu kochana, nie gniewaj się, duszyczko! Troszeczkę się zaawanturowałem; byłem — jak się nazywa — na śniadanku (do ucha) i ululaliśmy się troszeczkę; niewiele — ale troszeczkę i to szampitrem, jak cię Kocham!

DOROTA: Ej, stary, psujesz mi się! Po śniadankach już zaczynasz się włóczyć.

ONUFRY: Raz na kilka lat, Dorciu kochana!

DOROTA: A tu Walentowa przysuwa, odsuwa obiad; będziesz jadł teraz wysuszone, przypalone...

ONUFRY: Dziękuję ci, duszyczko, za obiad. Ja objedzony i opity, że strach! Śniadanko było, co się zowie. Zgadnij, co jadłem?

DOROTA: Czy ja wiem?...

ONUFRY: No? no?...

DOROTA (myśli; po chwili): E, daj mi pokój!

ONUFRY: No, duszyczko, jak mnie kochasz, zgadnij! — No? Coś, co ja bardzo lubię...

DOROTA: Czy ja wiem? Może zrazy nelsonskie?

ONUFRY: A jak cię Kocham — jakbyś tam była — rzeczywiście zrazy nelsonskie, ale jakie! fiu-fiu! — z truflami, z garnirunkiem, z historiami — powiadam ci, pyszności! przepardne! Potem były kuropatwy, przeróżne sery, owoce, — sło-

wem, królewskie śniadania. I to wszystko, wystaw sobie, kosztem Wistowskiego.

DOROTA: O! Skądże jemu się to wzięło?

ONUFRY (pod sekretem): Z okazji naszej Wandy.

DOROTA: Nic nie rozumiem.

ONUFRY: Oświadczył się o nią!

DOROTA: E!

ONUFRY: Jak cię Kocham!

DOROTA: W imię Ojca... Cóż się znowu staremu zachciewa!

ONUFRY: Maja Dorciu! najprzód młodszy o wiele ode mnie.

DOROTA: To także porównanie! Co ja, to nie Wanda.

ONUFRY: Ależ Dorciu, uważ sobie: Wistowski gruba ryba... Dwie wsie i kamienica w mieście...

DOROTA: To cóż z tego! Jak go Wanda nie zechce, przecież gwałtem jej nie wydamy.

ONUFRY: Uchowaj Boże! Ale, widzisz, mnie się wszystko zdaje, że ona nie będzie od tego. Uważałem, że Wistowski od pierwszej chwylki przypadł jej do gustu. Ciągłe nim tylko zajęta, taka sprzedająca grzeczną... Wczoraj na przykład cały wieczór tylko się z nim bawiła.

DOROTA: To prawda — choć miała młodszego, tego jakiegoś tam bratanka.

ONUFRY: A widzisz! Dziewczyna ma rozum, ho, ho!...

DOROTA: Ha, gdyby taka była wola Boska... (Siada).

ONUFRY (siadając przy niej): To byłoby bardzo dobrze — nieprawdaż? Nie potrzebowałibyśmy się z Wandzią rozłączać, byłaby bliźniutko nas.

DOROTA: Prawie jak w domu.

ONUFRY: Wychowałibyśmy sobie ich dzieci...

DOROTA: Jeżeli będą.

ONUFRY: Ale będą z pewnością! Cóż ty sobie myślisz? Wistowski chłop nie od parady. (Przysuwa się do niej i trąca łokciem). Prawnuczęta!... słyszysz matka? Co by to była za radość doczekać się prawnuka. O, bo koniecznie musi być chłopiec!

DOROTA: Mój Nufciu, co Pan Bóg da...

ONUFRY: O, nie, nie! chłopiec koniecznie — z góry to zapowiem Wistowskiemu, że chcę koniecznie chłopca. Wykierujemy go potem na jakiego wielkiego inżyniera.

DOROTA: To przecież już lepiej na doktora.

ONUFRY: E! doktorów teraz na kopy.

DOROTA: Niech sobie będzie; zawsze co doktor, to doktor.

ONUFRY: Wielki mi honor całe życie tylko pulsa macać i języki oglądać! gdy tymczasem inżynier... Toż to oni teraz panami świata; robią z tą biedną ziemią naszą, co im się żywnie podoba — morza sobie przenoszą jak nigdy nic, góry przebijają — no i róbże im tu co! Mocarze, panie, — jak Boga kocham, mocarze! A nuż też nasz prawnuczek zostanie dyrektorem kolei, alba żegluga balonowej, bo kto wie, co oni do tego czasu wymyślą.

DOROTA: Gadaj sobie ty, co chcesz, ja tam na żadnego inżyniera nie przystaję. Będzie doktor, i koniec.

ONUFRY: Prędzej mi tu włosy wyrosną! Będzie inżynierem, żeby tam nie wiedzieć co...

DOROTA: Nie będzie!

ONUFRY: Będzie.

DOROTA: Przecież to nie ty rozstrzygać będziesz, tylko Wandzia, a ona z pewnością będzie za doktorem.

ONUFRY: Kto? Wandzia? Ja bym przysięgł na nie wiedzieć co, że za inżynierem.

DOROTA: A ja ci mówię, że nie.

ONUFRY: A ja ci mówię, że tak.

DOROTA: Nie, nie!

ONUFRY: Tak — tak — tak!

Scena druga

Ciż, WANDA.

WANDA: O cóż to taka żarliwa sprzeczka?

ONUFRY: Otóż i Wanda. (Bierze ją za rękę). No, powiedz sama, co byś wolała: czy żeby twój...

DOROTA: Nufciu!

ONUFRY (na stronie): A to bym palną głupstwo! Przed panną przecież nie można!

WANDA: O cóż chodzi?

ONUFRY: E, nic, nic! — Takeśmy z babcią trochę się zagalopowali.

WANDA: Z czym?

DOROTA: E, to ciebie nie obchodzi. Dziadek zwyczajnie bredził.

ONUFRY: Moja Dorciu, bardzo proszę!

WANDA: Jak widzę, to państwo dziadziowie mają jakieś tajemnice przede mną.

DOROTA: Ale żadne tajemnice...

WANDA: Przysięgłabym, żeście tu coś o mnie mówili.

DOROTA: Ale gdzie tam!

WANDA: No, niech mi babcia spojrzy w oczy. — A co? Nie mówiłam?

DOROTA: No, mówiliśmy o — o... twojej przyszłości.

ONUFRY: A prawda! a propos przyszłości! Chodź no tu Wandziu, siadaj!

WANDA (wesół): O! coś będzie bardzo poważnego, bo dziadek ma taką oficjalną minę.

ONUFRY: No, tylko bez tych żartów.

WANDA: Będę okrutnie poważną. No? Słucham.

ONUFRY: E! kiedy mnie całkiem zbiła z tropu tymi błazeńskimi minami.

DOROTA: Kiedy ty, Nufciu, za wiele robisz ceregieli! (Przysiada się do Wandy). Widzisz, idzie tu o to...

ONUFRY (żywo): Chcesz iść za męża, czy nie chcesz?

WANDA: To zależy od tego, za kogo?

DOROTA i ONUFRY (razem): Za Wistowskiego.

WANDA (ucieszona): Więc oświadczył się już?

ONUFRY: Dzisiaj właśnie. No i cóż ty na to?

WANDA: Jeśli dziadkowie sobie tego życzą, to ja najchętniej...

ONUFRY: A co? Widzisz matka? nie mówiłem? Ona na to jak na lato.

DOROTA: Chwała Bogu! To już widocznie przeznaczenie.

ONUFRY: No, więc rzecz załatwiona; nie ma już o czym mówić. On tu sam niezadługo przyjedzie, to sobie dopowiecie resztę. A teraz dajcie mi się trochę przedrzemać, bo ten szampiter strasznie jakoś mnie rozebrał. Dorciu, a może i ty małego szlumerka? — Ta to nasza godzina.

DOROTA: Choć oko zmrużę na chwilę, bo bym potem cały wieczór była jak nieswoja.

ONUFRY: Przeprós tu twojego Wistowskiego za nas. Myślę, że nie będzie się bardzo gniewał, że was samych zostawiamy. Oj, ty, ty, bałamutko!

DOROTA: Mój robaczek złoty! (Całuje ją).

ONUFRY: No, matka!

DOROTA: Idę, idę! (Całuje raz jeszcze Wandę. Odchodzą).

WANDA: Więc Henryk oświadczył się... A' nic mi wczoraj o tym nie mówił! Przecież powinien był chociaż dla formy zapytać się, czy pozwałam! Ci mężczyźni, jak się tylko dowiedzą, że są kochani, to im się już zdaje, że mogą z nami robić wszystko, co im się podoba. O, nic z tego! Trzeba będzie krótko wziąć panicza, bo by potem nadto sobie pozwalał. (Siada. Po chwili). Toż to Helenka się zdziwił, jak się dowie, że już po wszystkim!

Scena trzecia

WANDA, HENRYK.

HENRYK (wchodzi): Czy wolno?

WANDA (udaje zadąsaną): O! — teraz to się pyta! A o co innego się pan nie pytał, czy wolno.

HENRYK (zdziwiony): O co innego?...

WANDA: Jak to udaje, jakby o niczym nie wiedział! Dziadek mi już powiedział!...

HENRYK: Co takiego?

WANDA: Ach! co to za obłudni mężczyźni! Toś pan już zapomniał, o czym mówiłeś dzisiaj z moim dziadkiem?

HENRYK: Kiedy ja dziadka pani dzisiaj na oczy nie widziałem!

WANDA: Przecież dziadek mówił mi najwyraźniej, żeś się pan o mnie oświadczył!

HENRYK: Mówił, że ja?

WANDA: No tak — Wistowski.

HENRYK: A tak, Wistowski; ale nie ja, tylko mój stryj...

WANDA (oburzona): Co?!

HENRYK: Właśnie dlatego tu przyszedłem, bo dziś powiedziano mi, że stryj się żeni. Nie wiedziałem tylko z kim, ale z tego, co mi pani mówisz, widzę, że chce z panią.

WANDA: Cóż ten stary sobie myśli, że ja bym poszła za niego? Za nic w świecie! Wolę iść do klasztoru! Niech mi się tylko ośmieli wspomnieć o tym, to mu nagadam takich impertynencyj...

HENRYK: Że pogniewa się na panią, a wtedy z naszego małżeństwa nic.

WANDA: Prawda, że to od niego zależy! Boże, Boże! co tu robić?

(Chodzi).

No, radźże pan przecież! — od czego żeś pan mężczyzną? Panu przecież także o to chodzić powinno, żebym nie została pańską stryjenką!

HENRYK: O to nie ma obawy, bo przecież dziadkowie pani nie zmuszą do małżeństwa.

WANDA: Spodziewam się.

HENRYK: Idzie więc tylko o to, jak wyperswadować stryjowi ten niedorzeczny zamiar. Trzeba by to tak delikatnie zrobić, żeby go nie obrazić i skłonić w końcu, aby nam dał swoje zezwolenie.

WANDA: Ale jak to zrobić?

HENRYK (po chwili, chodząc w zamyśleniu): Mam! Doskonała rzecz!

WANDA: Co takiego?

HENRYK: Stryj przecież pisał do mnie...

WANDA: Ktoś idzie!

HENRYK: Może to on?

WANDA: Uciekajmy!

HENRYK: Ale gdzie?

WANDA (wskazując na lewo): Tam, do mego pokoju. Chodźmy!

HENRYK: Opowiem pani mój plan.

(Odchodzi na lewo).

Scena czwarta.

PAGATOWICZ, później WISTOWSKI.

PAGATOWICZ: No, mam doskonały sposób na Burczyńskiego. (Wydobywa papiery). Zrobiłem formalny zapis całego mego majątku na rzecz Helenki. To starego powinno przekonać, że nie

rachuję wcale na jego majątek i że żenię się li tylko z czystej miłości.

(Do wchodzącego Wistowskiego).

A, i pan ciągnie tutaj? Brawo! brawo!

WISTOWSKI (wchodzi, starannie ubrany): No i cóż pan na to, panie Pagatowicz? — wstępuję w pańskie ślady.

PAGATOWICZ: Słyszałem, słyszałem, i winszuję. (Podaje mu rękę). Socius doloris — chciałem powiedzieć: amoris.

WISTOWSKI (rozsiadając się wygodnie): Przyznam się panu, że z początku nie miałem wcale tego zamiaru, ale poznawszy lepiej pannę zdecydowałem się stanowczo... To fenomen panna!

PAGATOWICZ (zależy tabakę, ucieszony): Tak samo, jak moja Helenka.

WISTOWSKI: Bo choć młoda, ale nad wiek rozsądna.

PAGATOWICZ (więcej do siebie): Do tego prosto z pensji, to wiele znaczy.

WISTOWSKI (chodząc zadowolony): Tak — da się łatwo pokierować. A jak gra w karty, to satysfakcja prawdziwa!

PAGATOWICZ: Prawda, nie pytałem się jeszcze Helenki, czy ona także grywa.

WISTOWSKI: A powinieneś ją pan koniecznie nauczyć. Co to za przyjemność mieć partnera w domu pod ręką, na zawołanie. Nieraz paskuda, zadymka, że psa byś nie wygonił, a człowiek musiał wyjść, żeby gdzie jako tako zabić wieczór. — A teraz, jak się będzie miało w domu młodą żonkę, ani się nie pomyśli o wychodzeniu. Ogień na kominku, herbatka — partyjka — coś, owoś... O, małżeństwo ma także swoje dobre strony!

PAGATOWICZ: A widzisz pan, na moim stanęło!

WISTOWSKI (nuci półgłosem):

Tam na polu zawierucha
Mokrym śniegiem dmie,
Na kominku ogień bucha...

PAGATOWICZ: A cóż kuzynek na to wszystko?

WISTOWSKI: A cóż mnie to obchodzić może, co on powie? Byłbym chyba ostatnim głupcem, żebym, mogąc sam pracować dla utrzymania nazwiska Wistowskich, wyręczał się kim innym.

PAGATOWICZ: No — a ta obietnica zapisu?

WISTOWSKI: To mnie także do niczego nie obowiązuje. Obiecałem, że mu oddam majątek, jeżeli się ożeni z panną, która mnie się spodoba.

PAGATOWICZ: No tak.

WISTOWSKI: A ja teraz ręczyć mogę za siebie, że mi się żadna nie spodoba.

PAGATOWICZ: A! prawda; doskonała furтка!

WISTOWSKI: Bliższa koszula ciała... panie Pagatowicz!

PAGATOWICZ: Tak! Prima charitas ab ego...

WISTOWSKI: A, otóż i panna Wanda! — Zmiłuj się pan, zostaw nas samych, bo chciałbym...

PAGATOWICZ: Niepotrzebnie się pan tłumaczysz.
My zakochani rozumiemy się. (Do siebie). Pójdę i ja poszukać mojej ślicznotki.
(Odchodzi na prawo).

Scena piąta

WISTOWSKI, WANDA wchodzi.

WISTOWSKI: O! Cóż panna Wanda dziś taka ząsępiona, smutna?

WANDA (siada): Czy to zawsze można być wesołą?

WISTOWSKI (siadając obok): To prawda. Ale jeżeli kiedy, to dziś pragnąłbym panią widzieć weselszą.

WANDA: Dlaczego właśnie dzisiaj?

WISTOWSKI: Bo to dla mnie dzień niezwykły, uroczysty.

WANDA: Może imieniny?

WISTOWSKI: Stokroć więcej: dziś dzień mojego odrodzenia.

WANDA: Odrodzenia?

WISTOWSKI (wstaje): Tak, pani! Ten dawny Wistowski już nie żyje... Umarł razem ze swoimi uprzedzeniami, przesądami, a narodził się zupełnie inny człowiek, który wierzy, kocha, żyje nadzieją i stworzył sobie cel życia... Słowem, stoi przed panią całkiem nowy człowiek.

WANDA: Bardzo mi miło poznać nowego pana Wistowskiego.

WISTOWSKI: Figlarka z pani; otóż tak to lubię. (Bierze ją za rękę). Ach, panno Wando, nie uwierzysz, jak pragnąłbym widzieć cię zawsze tak wesołą, uśmiechniętą, szczęśliwą...

WANDA: Cóż panu zależeć może na mojej wesołości?

WISTOWSKI: Co zależy? Czyż Wistowski może być szczęśliwym, gdy pani jesteś smutną?

WANDA: Pan sobie chyba żartujesz ze mnie.

WISTOWSKI: Jak honor kocham, tak mówię szczerą prawdę. Pani mnie formalnie oczarowałaś, odmieniłaś do niepoznania, (czulej) zachwyliłaś.

WANDA: Taka sobie zwyczajna istota jak ja?... Boże! Cóż by we mnie mogło podobać się komu...

WISTOWSKI (zapalając się): Co? Wszystko! Przymioty ciała i duszy, jakimi obdarzyła cię natura, muszą każdego oczarować, i trzeba by chyba nie mieć ócz, nie mieć rozumu, nie mieć serca, żeby się nie zachwycać panią. Ja nie wiem, komu byś się pani mogła nie spodobać!

WANDA (patrząc ukradkiem na Henryka, wchodzącego po cichu): Pierwszemu panu!

WISTOWSKI: Mnie?! Przysięgam na honor, że żadna jeszcze kobieta tyle mi się nie podobała, co pani!

WANDA (podaje mu rękę): O, dziękuję panu za to zapewnienie!

Scena szósta

Ciż i HENRYK.

HENRYK (biorąc go za drugą rękę): O, dzięki ci, stryju najdroższy.

WISTOWSKI: Henryk?! — A ty za co mi dziękujesz?

HENRYK: Za to, coś powiedział przed chwilą, że panna Wanda ci się podoba.

WISTOWSKI (rozniewany): Co się ty tu wtrącasz? Co ciebie to obchodzić może?

HENRYK: I bardzo obchodzi, bo w takim razie nie będziesz miał nic przeciw memu małżeństwu.

WISTOWSKI: Małżeństwu? Z kim?

HENRYK: Z tu oto przytomną.

WISTOWSKI: Zwariowałeś?

HENRYK: Dlaczego, że kocham pannę Wandę?

WISTOWSKI: No, formalny wariat! panno Wando, powiedz sama: drugi raz zaledwie cię widzi...

WANDA (spuszczając oczy): Znamy się już od roku.

WISTOWSKI: Co?... Gdzie?...

WANDA: Na pensji; był przecież moim nauczycielem muzyki.

WISTOWSKI: To panią ślicznie wyuczył!

HENRYK: Mam słowo stryja... list...

WANDA: A mnie pan mówiłeś przed chwilą, że że pragnąłbyś mnie widzieć szczęśliwą — a będę nią w zupełności, jeżeli mi będzie wolno kochać pana jako stryja mego męża.

WISTOWSKI (do siebie): Tak, zamienił stryjek na siekierkę kijek! — śliczna mi kondolencja.

HENRYK (biorąc go za rękę): Stryju najdroższy.

WANDA: Ja bym także rada powiedzieć: „Stryju najdroższy“, ale nie wiem, czy pan pozwolisz?

WISTOWSKI: O! jaka to teraz trwożliwa! Trzeba było pierwiej pytać się o pozwolenie. (Patrzy jej w oczy i rozchmurza czoło). Ty, ty, ty — bałamutko mała!

WANDA (żywo, biorąc go za rękę): Więc zezwalasz pan?

WISTOWSKI: Ha! cóż mam robić, kiedyście mnie tak zrećnie podeszli.

HENRYK: Stryju najdroższy! (Całuje go w ramię).

WANDA: Będziesz pan miał we mnie stałego partnera do wista.

WISTOWSKI (na stronie): Wolałbym do mariasza — ale cóż robić?!

Scena siódma

Ciż. Wchodzi ONUFRY, DOROTA, PAGATOWICZ, FILIP.

ONUFRY: No cóż? porozumieliście się już ze sobą?

WANDA (tuląc się do Henryka): Zupełnie!

ONUFRY: A to co znaczy? Panie Wistowski!

WISTOWSKI: Co takiego?

ONUFRY: Przecież mnie pan dziś najwyraźniej prosiłeś o rękę Wandzi..

WISTOWSKI: No tak, dla mego synowca...

ONUFRY: Dla synowca? A ja byłbym przysięgł...
No patrzcie państwo, to ten szampiter tak mi zbałamucił głowę!

WISTOWSKI: Tak — dla mego synowca i jedyne go spadkobiercy mego.

DOROTA (na stronie): Chwała Bogu! Zawsze co młodszy, to młodszy.

FILIP: Jak to? to nasza panienska idzie za mąż?

WANDA: Może ci się to nie podoba, Filipie?

FILIP: Ale gdzie zaś nie! Toż to będzie uciecha!
(Całuje w rękę Wandę, a potem wszystkich po kolei).

PAGATOWICZ (do Wistowskiego): Jakże się to stało? Przecież mi pan najwyraźniej mówiłeś...

WISTOWSKI: To się tylko tak mówiło. Pan wiesz dobrze, że ja nie byłem nigdy zwolennikiem małżeństwa!

Scena ósma

Ciż, HELENA.

HELENA (wchodzi prędko): Czy tu jest pan Pagatowicz?

PAGATOWICZ (idąc do niej): Jestem, jestem!

HELENA: No, nareszcie ojciec pozwolił! Ach, nie uwierzysz pan, jak jestem szczęśliwa.

PAGATOWICZ (z radością): Pozwolił? Poczciwy ojczulek!

Scena dziewiąta

Ciż i BURCZYŃSKI.

PAGATOWICZ: No, zmiękłeś nareszcie?

BURCZYŃSKI: Ta cóż miałem robić? Dziewczyna mi beczy po kątach, chodzi od rana do wieczora z nosem na kwintę spuszczonego... Myślę sobie, pal was sześć... — dla miłego spokoju...

PAGATOWICZ: Nie pożałujesz tego. Zobacysz!

BURCZYŃSKI: Tylko pamiętaj, żebyś jej dogodził, żeby mi się potem znowu nie krzywiła.

PAGATOWICZ: Przecież mnie znasz nie od dzisiaj.

BURCZYŃSKI: Wiem, wiem, że ty do babskich interesów jedyny. — Więc ile to tam łokci tego będzie potrzeba?

PAGATOWICZ (osłupiały): Łokci? Jakich łokci?

BURCZYŃSKI: No, czy tam metrów, jak teraz mówicie.

PAGATOWICZ: Metrów? Panno Heleno!

HELENA: Ja myślę, że trzydzieści powinno wystarczyć.

BURCZYŃSKI: Co? co? Trzydzieści? Zwariowałaś?

HELENA: Przecież teraz tyle się bierze. Panie Pagatowicz, wytłumaczcie pan ojcu! Potrzeba przecież na tunikę — ogon...

BURCZYŃSKI: A tobie to na co?

HELENA: Taka teraz moda.

BURCZYŃSKI: Jechał was sęk z taką modą! Czy to słyszana rzecz, proszę państwa, żeby pannie w tych latach zachciewało się już w jedwabiach chodzić!

PAGATOWICZ (do siebie): Więc to jej się tego zachciewało?! — o ja osioł...

WANDA: Suknia jedwabna przyda się Helence na moje wesele.

BURCZYŃSKI: Co?... co? Wesele?

WANDA (przedstawiając Henryka): To mój narzeczony.

BURCZYŃSKI: W imię Ojca i Syna.

ONUFRY: Tak, tak! na poczekaniu sobie chłopca wytrzasnęła.

BURCZYŃSKI (do Heleny): Masz na tę suknię i daj mi święty spokój; — żebyś mi się znowu czegoś więcej nie napierała.

(Wyjmuje pugilares).

HELENA: Niech się tatuńcio nie boi — ja poprzestaną na sukni.

WISTOWSKI (do Pagatowicza): Panie Pagatowicz, przyjdźże pan do siebie, nie kompromituj się! Powinieneś pan być kontent, żeś uratował swoje kawalerstwo.

PAGATOWICZ: A mówiłeś pan, że one mają taki apetyt na grube ryby...

WISTOWSKI: Pokazuje się, że nie wszystkie; nie ma reguły bez wyjątku.

HELENA: Panie Pagatowicz, oto pieniądze, próbka. Teraz już pan możesz jechać.

ONUFRY (patrząc na Pagatowicza): A tobie co? Pagatosiu? Co ci się stało?

WISTOWSKI: Nic, nic — to katar żołądka.

ONUFRY: Morison — nie ma jak morison na takie rzeczy!

Zasłona spada.

K o n i e c .

Redakcja „Poradnika“ zwraca się do wszystkich zespołów teatralnych, które korzystają z utworów scenicznych, zamieszczonych na jego łamach, z uprzejmą i gorącą prośbą o nadsyłanie artykułów, recenzji, sprawozdań, notatek prasowych, wspomnień osobistych itp., związanych z organizowanymi przedstawieniami.

WIADOMOŚCI

z życia świetlic — przegląd wydawnictw — różne

NOWE WYDAWNICTWA

Zofia Romanowiczowa. **Baśka i Barbara**. Paryż, Libella, 1956. Okładkę projektował art. graf. Władysław Szomański. S. 223.

Książka mówi o dziecku. O jednej z dziewczynek, jakich tyle mamy na uchodźstwie w naszych rodzinach. O jej pierwszych oznakach życia, zanim jeszcze przyszła na świat — do stopniowego rozwoju, poczynając od uzyskania cennej umiejętności kierowania wzrokiem aż do opanowania sztuki czytania, od przyswojenia sobie elementów mowy ojczystej — do wysunięcia się na miejsce pierwszej uczennicy w klasie francuskiej.

Z obserwacji, dokonywanych przez matkę, powstało opowiadanie, które wciąga, porusza, urzeka. Romanowiczowa umie połączyć ciepło kochania z czujnością i spostrzegawczością wolną od łzawego przeczulenia. W ocenie warunków, w jakich wychowuje się dziecko polskie na obczyźnie, ma oczy otwarte na dwie strony problemu. Zdaje sobie sprawę, że określenie „emigrantka” w odniesieniu do pięcioletniego berbecia brzmi po prostu śmiesznie. Wie, że dziecko jej — czy rodzicom to odpowiada czy nie — czerpać będzie strawę duchową „z dwóch garnuszków”: polskiego i francuskiego. Co z tego wyniknie? Jaki będzie skutek tego żywienia się dwiema papkami? Oto pytanie, które wspólnie z autorką stawiają sobie tysiące i dziesiątki tysięcy polskich ojców i matek, którym los dał w udziale trwanie na obcej ziemi.

Dziewczynka, o której mowa w powieści, w domu rodzicielskim nosiła imię Basi, — tak na nią wszyscy wołali; gdy zaczęła uczęszczać do szkoły francuskiej, przeistoczyła się w Barbarę. To dwoiste brzmienie imienia zamyka w skrócie dwutorowy kierunek wychowania. Opowiadanie, które miało zakrój wiernej relacji psychologicznej, urasta do miary podstawowego problemu, na który trzeba jakoś odpowiedzieć. Odpowiedzieć bez zakłamania, bez frazesu, bo przecież chodzi o nasze własne dzieci.

Ktokolwiek sprawę tę bierze do serca — a chyba leży ona na sercu wszystkim — powinien sięgnąć po książkę Romanowiczowej bezwzględnie. Najpierw aby się nią nacieszyć,

aby wspólnie z autorką odetchnąć świeżą atmosferą dzieciństwa, zawsze równie urzekającą. Następnie aby wspólnie z nią rozstrzygnąć problem, który w naszych okolicznościach ma znaczenie podstawowe. Czy wolno zubożać nasze własne dzieci o ten skarb tradycji i wzruszeń, na którym wyrosła nasza własna młodość? Czy z drugiej strony wskutek dwutorowości wysiłku wychowawczego nie stworzymy dziecku komplikacji, które mu walkę o byt utrudnią?

Książka przynosi rozstrzygnięcie tego dylematu, najuczciwsze, bo dokonane na najbliższym sercu istocie. Ostrzeża przed ułatwieniami, które zwiastują zubożenie. Dowodzi w sposób przekonywujący, że Piast, Wanda i Popiel godzą się doskonale z dziejami panowania Gallów na obszarze francuskim. Byle zaczynać od właściwego końca, — od własnej mowy i od własnych dziejów. Czy przez to dzieci nie nabędą złego akcentu francuskiego? Nie ma obawy! Kiedy znajdą się na ławie szkolnej, przyswoją sobie błyskawicznie wszystko, czego wymagać będą nauczyciele.

Nie obawiajmy się, że książka jest tendencyjna. Podaje przekonywujące obserwacje, — oto wszystko. Czytelnik może je sam ocenić formułując wnioski własne. Jeżeli dojdzie do tych samych konkluzji, jakie dała autorka, to nie jej wina, lecz zebranego surowca pisarskiego.

Umiejętności pisarskie Romanowiczowej czynią z jej opowiadania książkę o wysokiej wartości literackiej. Celuje w opisach natury, ślicznie sprzęgających się z tokiem opowieści. Jeśli chodzi o ustępy początkowe, poświęcone oczekiwaniu ciężarnej matki na urodziny dziecka, łączą one surowość wyznania z przedziwną, subtelną delikatnością. Z rzadko ukazują się postacie ludzkie, czy to z otoczenia francuskiego, czy z grona emigracji, kreślone z niezawodnym rozmachem rylca pisarskiego. A jednak na przekór temu tłu, przesuwającemu się jakby na dalekim planie, skupiamy całą uwagę na Basi-Barbarze. Może tak właśnie być powinno. Czy nasze Baśki — to nie najrzeczywistsza częśćka naszego wspólnego trwania?

Z ŻYCIA YMCA

JÓZEF BEDNAREK

ISTOTA CZŁONKOSTWA POLSKIEJ YMCA

Gdy jestem w Anglii, Francji, czy w Niemczech i spotykam Polaków, pytam ich między innymi, czy są członkami Polskiej YMCA. Wielu z nich daje mi odpowiedź mówiąc: naturalnie, przecież mieszkam w YMCA, jadam obiady..., gram w ping ponga..., uczę się języka..., biorę udział w obchodach..., wypożyczam książki..., byłem na obozie... itd. Słyszając to jestem dumny, iż organizacja nasza ma tak duży zasięg i stara się zaspokoić tak różnorodne potrzeby Polaków na uchodźstwie, a jednocześnie zastanawiam się, ilu z tych ludzi rzeczywiście zdaje sobie sprawę z tego, co znaczy być członkiem YMCA.

Przed wojną z gmachów Polskiej YMCA, urządzeń i działalności korzystały tysiące ludzi; w czasie wojny akcja pomocy żołnierzom, jeńcom wojennym, wysiedleńcom i uchodźcom objęła setki tysięcy. Należy jednak przyznać, iż wielu z tych ludzi wiedziało bardzo mało, albo zgoła nic o właściwym charakterze i zadaniach naszego Związku i uważało go za klub towarzyski, albo instytucję charytatywną.

Dla wielu z nich, do dnia dzisiejszego, Polska YMCA — to dom lub pokój, w którym się ona mieści, to świetlica z jej urządzeniami, to ta czy inna akcja pomocy. Czyż jednak za nasz dom rodzinny uważamy mieszkanie, które zajmujemy? Naturalnie że nie. Dom w znaczeniu rodziny — to nasi bliscy, to więź, która nas z nimi łączy, to nasze oparcie w chwilach ciężkich i nasze wielkie zobowiązanie, to wspólne troski i radości. Podobnie jak dom nie jest „domem“, tak Polska YMCA nie jest pomieszczeniem, które zajmuje. Polska YMCA — to należący do niej ludzie, jej członkowie, ich wzajemne stosunki, duch i panująca wśród nich atmosfera.

Jeśli ktokolwiek zastanawiał się nad tym, co było powodem zdumiewającego rozwoju YMCA na świecie, to musi dojść do wniosku, iż źródłem jej powodzenia jest jej ideologia i związani z nią ludzie. Rola czynnika ludzkiego w budowaniu i prowadzeniu jakiegokolwiek przedsięwzięcia jest zawsze czynnikiem dający. Jeden z wybitnych amerykańskich przedsiębiorców poruszając tę sprawę powiedział: „Zabierzcie mi fabryki, sprzęt i pieniądze, pozbawcie mnie moich stosunków, zostawcie mi tylko moich ludzi, a po pewnym czasie będę miał znów wszystko to, co zostało mi zabrane“.

Na poparcie tej teorii nie potrzeba lepszych przy-

kładów jak historia Polskiej YMCA. W ciągu ostatnich dziesięciu lat Związek nasz pozbawiony został dwukrotnie swego majątku i prawa do życia (likwidacja YMCA w czasie okupacji niemieckiej; likwidacja Polskiej YMCA w kraju w r. 1949); a jednak, dzięki grupie oddanych sprawie członków, nadal istnieje i działa, jest uznany przez wszystkie inne organizacje YMCA, jako niezależny polski ruch narodowy, i cieszy się w ich gronie powszechnym szacunkiem.

Polska YMCA jest stowarzyszeniem członków. Aby być członkiem Polskiej YMCA, nie wystarczy podpisać deklarację członkowską i regularnie płacić składki, lecz należy brać czynny udział w jej pracach. Czynny udział — to znaczy nie tylko korzystanie z urządzeń i usług, lecz przede wszystkim pomoc przy prowadzeniu działalności, finansowaniu instytucji, udział w charakterze wolontariusza czy przodownika. Członek Polskiej YMCA nie ogranicza się do przestrzegania regulaminów i odgrywania roli przychylnego widza, lecz zajmuje czynną postawę w stosunku do wszystkiego, co go otacza, i swymi czynami i zachowaniem daje świadectwo, iż ideologia naszego Związku nie jest czczym frazesem. Być członkiem Polskiej YMCA — to znaczy starać się żyć i działać zgodnie z nauką Pana Jezusa.

Członkowie Polskiej YMCA dzielą się na honorowych, rzeczywistych, wspierających, oraz członków uczestników.

Członkiem honorowym może zostać każda wybitna jednostka, sympatyzująca całkowicie z celami i dążeniami Polskiej YMCA.

Członkiem rzeczywistym może zostać każdy chrześcijanin w wieku lat 18 lub powyżej polecony przez dwóch członków rzeczywistych, który stwierdzi pisemnie, że przyjmuje podstawowe zasady i cele Polskiej YMCA za swoje i że do urzeczywistnienia ich dążyć będzie przez:

- zastosowanie w życiu zasad, zawartych w nauce Chrystusa i stwierdzonych przykładem Jego życia;
- znajomość, przestrzeganie i propagowanie zasad Polskiej YMCA słowem i czynem, a zwłaszcza osobistym przykładem;
- ofiarną pracę dla bliźnich i społeczeństwa za pomocą tej lub innej podobnej organizacji.

Członkowie rzeczywisci, poprzez wybrane przez siebie władze, posiadają prawo decydowania w sprawach działalności Polskiej YMCA, rozporządzają jej funduszami, oraz korzystają z biernego i czynnego prawa wyborczego w Związku.

Członkiem wspierającym może być każda osoba prawego charakteru lub osoba prawna, sympatyzująca z celami Polskiej YMCA oraz wspomagająca ją finansowo.

Członkami uczestnikami mogą zostać mężczyźni, kobiety, chłopcy, dziewczęta, którzy pragną korzystać z urządzeń i działalności Polskiej YMCA. Nieletni, powyżej lat 12, mogą zostać członkami za pisemną zgodą rodziców lub opiekunów.

Członkostwo Polskiej YMCA stoi otworem dla wszystkich wyznań chrześcijańskich, wszystkich klas społecznych i ugrupowań zawodowych. Członkowie Polskiej YMCA bez względu na wyznanie, pochodzenie czy stanowisko mają te same prawa, obowiązki i możliwości. Naturalnie dotyczy to tylko członków tej samej kategorii, gdyż jasne jest, iż członkowie rzeczywisci, jako ci, na których opiera się Związek, muszą mieć większe prawa i obowiązki od członków uczestników, których rola, w większości przypadków, ogranicza się do korzystania z urządzeń. Dodać jednak należy, że wszystkie stopnie organizacyjne w Polskiej YMCA są dostępne dla wszystkich jej członków, byleby chcieli przejść drogę, która do nich prowadzi.

Proces tworzenia się świadomego i pełnego członkostwa Polskiej YMCA może być zilustrowany w sposób następujący.

Wyobraźmy sobie, że sfera wpływów i działania Polskiej YMCA jest kołem, zamykającym wszystkie osoby, które mają z nią jakikolwiek kontakt. Koło to podzielone jest na kręgi, z których każdy odpowiada jakimś wzajemnym stosunkom pewnej liczby jednostek oraz oznacza stopień powiązania ich z naszym Związkiem. Im bliżej środka, tym ściślejsze są te wzajemne stosunki i tym silniejsze więzy organizacyjne.

Zacznijmy od kręgu zewnętrznego. Jest on największy, najbardziej oddalony od środka koła. Osobiste stosunki tych, którzy znajdują się w jego obrębie, jak również ich łączność z Polską YMCA są raczej luźne. Krąg ten — to znajomi Polskiej YMCA, jeśli ich tak można nazwać. Przychodzą oni do nas od czasu do czasu, by spotkać się z kimś, co tu często bywa, by zwiedzić wystawę, posłuchać koncertu, odczytu itd. Są oni naszymi gośćmi, którzy nie mają wzajemnie wobec siebie i wobec organizacji żadnych obowiązków, korzystając tylko z jednego prawa, prawa gościnności.

Niektórzy z nich w czasie tych sporadycznych odwiedzin mieli możliwość zetknięcia się z różnymi przejawami działalności Polskiej YMCA i znaleźli wśród nich takie, które idą po linii ich zainteresowań; inni nawiązali nowe znajomości, które uważają za przyjemne lub pożyteczne dla siebie, wobec

czego zaczęli przychodzić do nas coraz częściej i wreszcie stali się stałymi bywalcami. Regulując swój stosunek do organizacji, podpisują deklarację, wnoszą opłaty, wskutek czego automatycznie przechodzą z kręgu „znajomych“ do kręgu uczestników.

Krąg członków-uczestników jest drugi od zewnątrz, a więc znacznie bliżej środka koła. Ludzie znajdujący się w nim spotykają się często i nawiązują bliższe stosunki osobiste, a jednocześnie biorąc udział w działalności poznają bliżej Polską YMCA; tym samym stosunek ich do naszego Związku pogłębia się i zacieśnia.

Najprostsza forma członkowskiego uczestnictwa jest tak zwane uczestnictwo bierno, w roli widza lub słuchacza. Inną, wyższą formą jest udział w planowaniu, organizowaniu i prowadzeniu działalności, czyli tak zwane uczestnictwo czynne. Jak przewidują zasady Polskiej YMCA, członkowie jej mają całkowitą swobodę w organizowaniu się w kluby, koła i grupy oraz w planowaniu i realizowaniu opracowanych przez siebie programów działalności, byleby były zgodne z ideologicznymi założeniami Związku.

Jak wszyscy dobrze wiemy, praca w grupie i prowadzenie jakiegokolwiek działalności zbiorowej wymaga kierownictwa. W Polskiej YMCA, podobnie jak w życiu, bardziej wyrobione jednostki, okazujące dobrą wolę i zacięcie do pracy społecznej, podejmują się dobrowolnie pewnych zadań i pełnią funkcję przodowników, mając do swej dyspozycji fachową radę i pomoc wykwalifikowanych i doświadczonych imkarzy. Każdy z przodowników Polskiej YMCA, wcześniej czy później, przechodzi kurs szkoleniowy, który zapoznaje go z metodami pracy oraz uzupełnia jego wiadomości w dziedzinie, związanej z jego działalnością. Przodownictwo w grupie, czy też samodzielne prowadzenie jakiejś działalności jest doskonalszą formą czynnego uczestnictwa.

Członkowie-uczestnicy, o ile należą do Polskiej YMCA przez dłuższy okres czasu, poprzez swój udział w jej pracach mają możliwość zetknięcia się z ideologią, organizacją i działalnością Związku, jako ruchu młodzieżowego, przyswajają sobie zasady, metody i technikę pracy, oraz przesiąkają duchem Związku.

Wszystkim tym osobom Związek nasz daje możliwość przejścia do następnego kręgu imkowskiego, który stanowią członkowie rzeczywisci. Członkowie rzeczywisci Związku tworzą, w porównaniu z poprzednimi, mały krąg w środku koła. Zgrupowani są oni wokół punktu środkowego, który reprezentuje ideologię i cele naszego Związku. Krąg członków rzeczywistych składa się z ludzi wypróbowanych i szczerze oddanych naszemu Związkowi, którzy stanowią ideologiczny i organizacyjny trzon Polskiej YMCA. Winni oni wyróżniać się wartościami charakteru, zapałem i ofiarnością w pracy przy realizowaniu zadań Związku.

Doszliliśmy do środka koła nie wspominając o

członkach honorowych i wspierających. Teoretycznie członków tych będziemy mogli spotkać w każdym z naszych kręgów; w praktyce są oni zazwyczaj poza kołem. Zadaniem ich jest nie tyle praca wewnątrz organizacji, ile popieranie Związku z zewnątrz.

Członkowie Polskiej YMCA bez względu na to, do jakiego kręgu czy grupy należą, są istotą naszego Związku i jego dumą. Mówiąc o pięknych gmachach Polskiej YMCA w kraju lub o jej pracy w czasie

wojny, odwiedzając Ognisko Polskiej YMCA w Londynie czy skromną jej świetlicę w obozie uchodźców w Niemczech, pamiętać musimy, że wszystko, co mieliśmy i mamy obecnie, jest dorobkiem i wynikiem pracy naszych członków, którzy nie zrażając się przeciwnościami losu wytrwali i są nadal na stanowisku.

Thonon les Bains, 17 czerwca 1956.

DZIAŁALNOŚĆ BIEŻĄCA

TENIS STOŁOWY W OGNISKU W SHEFFIELD

Przy Ognisku Polskiej YMCA w Sheffield powstała przed czterema laty drużyna ping-pongowa. Organizatorem jej był p. L. Trzcziński. Stawała ona corocznie do rozgrywek w miejscowej lidze tenisa stołowego.

Przyjęta początkowo do grupy VIII, osiągała z roku na rok przodujące miejsca w rozgrywkach i dzięki temu uzyskiwała promocję do grupy wyższej.

W ubiegłym sezonie drużyna Polskiej YMCA w Sheffield po rozegraniu 22 meczy zajęła drugie miejsce w V grupie i została obecnie zaliczona do grupy IV. Miała ona za sobą 17 spotkań wygranych, 2 remisy i tylko trzy porażki.

Ofiarne wysiłki i wytrwałość zarówno kierownika drużyny p. L. Trzczińskiego, jak i jej członków w osobach pp.

G. Cibisa
M. Golusa
Z. Kurkowskiego
B. Schefflera
E. Sikory
M. Stanisławskiego

przyczyniły się w sposób rozstrzygający do osiągniętych sukcesów sportowych.

ODDŹWIĘK WCZASÓW W MELUN

Przed kilkoma miesiącami Polska YMCA ogłosiła wiadomość o udostępnieniu członkom Polskiej YMCA i osobom wprowadzonym pięknego ośrodka wypoczynkowego w Le Rocheton koło Melun (Francja). Inicjatywa ta spotkała się z gorącym przyjęciem. Napłynęło wiele zgłoszeń tak z Londynu, jak i ze skupień prowincjonalnych.

W drugiej połowie lipca wyjedzie z Sheffieldu grupa osób, które zamierzają spędzić swoje wczasy letnie we francuskim Ośrodku Wypoczynkowym YMCA.

WSPOMNIENIA O AKADEMII LITERATURY W KLUBIE LONDYŃSKIM

Jednym z najciekawszych odczytów, zorganizowanych w czasach ostatnich w Klubie Londyńskim Polskiej YMCA, była pogawędka Ferdynanda Goetla, członka Polskiej Akademii Literatury, poświęcona działalności tej instytucji. Prelegent przedstawił w żywy i bardzo zajmujący sposób różne inicjatywy i osiągnięcia Akademii, mało znane szerszemu ogółowi.

SZACHIŚCI LONDYŃSCY I ICH ROZGRYWKI

Rozpoczął się już drugi turniej o puchar „Dziennika Polskiego“. Rozgrywki odbywają się w dwóch grupach, z których każda liczy po 6 graczy.

Równocześnie odbywają się doroczne rozgrywki o mistrzostwo Polskiej YMCA. W punktacji prowadzi p. C. Zamojski, który dotychczas wygrał wszystkie partie.

PRZED OBOZEM POLSKIEJ YMCA

Zgłoszenia na obóz letni Polskiej YMCA w Melun przekroczyły liczbę miejsc, przyznanych kandydatom z Wielkiej Brytanii. W obozie weźmie udział B. Lesiecki, kierownik Klubu Polskiej YMCA w Londynie o wieloletnim doświadczeniu obozowym. Opiekę nad stroną oświatową obejmie — podobnie jak w roku ubiegłym — p. Ewaryst Hołdanowicz.

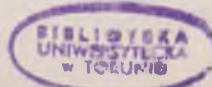
PRZYGOTOWANIA PROGRAMOWE

Klub Londyński ogłosił kalendarzyk, zawierający wykaz głównych imprez w ciągu najbliższych trzech miesięcy. Kluby w Barsley i Sheffield przystąpiły do opracowania swego programu na najbliższy okres jesienno-

Biblioteka Główna UMK



300040131783



OBÓZ LETNI POLSKIEJ YMCA

Wzorem lat ubiegłych oraz zgodnie z przedwojennymi tradycjami obozownictwa imkarskiego w Kraju, Polska YMCA urządza w okresie wakacyjnym roku bieżącego **Obóz Letni** dla chłopców w wieku od lat 12 do 18. Obóz ten będzie prowadzony samodzielnie z własnym kierownictwem i programem.

Warunki zewnętrzne

Obóz mieścić się będzie w ośrodku YMCA we Francji, położonym w miejscowości La Rochette koło Melun, w odległości około 45 km od Paryża a 16 km od Fontainebleau.

Otoczenie

Ośrodek YMCA „Le Rocheton“ posiada idealne warunki obozowe. W odległości 300 metrów płynie Sekwana, nad której brzegiem urządzono malowniczą plażę. Namioty będą rozstawione w pięknym parku, posiadającym kilka boisk sportowych. Las znajduje się w najbliższym sąsiedztwie. Obok stoi kościół katolicki, w którym odprawiane są nabożeństwa niedzielne.

Zaopatrzenie i wyposażenie

Obóz posiada stałe urządzenia higieniczne. Na miejscu czynny jest codziennie sklepik, zaopatrzony w produkty spożywcze oraz różne przedmioty pierwszej potrzeby. Zapewniona jest opieka lekarska i zdrowotna. Uczestnicy korzystają z różnorodnych udogodnień sportowych, jak boiska do siatkówki, koszykówki, piłki nożnej i lekkiej atletyki oraz stoły ping-pongowe.

Kuchnia francuska, smaczna i obfita. Pościłki będą wydawane pięć razy dziennie.

Program

Program obozu opiera się na doświadczeniach obozownictwa Polskiej YMCA sprzed wojny oraz z lat ostatnich. Przewiduje się między innymi uprawianie na szeroką skalę gier sportowych, zawodów i zaprawy lekkatletycznej i pływakowej (z przystosowaniem do wieku uczestników), próby sprawności dla uzyskania polskiej odznaki sportowej, kąpiele pod nadzorem, wycieczki krajoznawcze i przyrodnicze. Osobny dział programowy stanowić będą ogniska i pogadanki oraz zajęcia w grupach zainteresowań. Przewidziane są kursy z zakresu języka i dziejów ojczystych. Do użytku obozowców i pod ich zarząd oddana będzie odpowiednio wyposażona biblioteka. Bank obozowy zapewni bezpieczeństwo drobnych funduszy uczestników, zaznajamiając ich jednocześnie z zasadami racjonalnego oszczędzania.

W ramach życia obozowego odbywać się będą różne imprezy i zajęcia, stanowiące szczególne znamię obozów imkarskich, jak np.: Dzień samorządu obozowego chłopców; Wydawanie gazetki obozowej; Dzień braterstwa międzynarodowego; Nauka śpiewu obozowego z użyciem własnego śpiewniczka; prace ręczne; specjalne gry obozowe, maskarada obozowa itp.

Istotą obozu Polskiej YMCA jest dostarczenie uczestnikom pełnego wypoczynku poprzez odpowiedni program sportowo-rozrywkowy i kształcący przy zapewnieniu higienicznych warunków zewnętrznych oraz dobrego wyżywienia.

Obozowców obowiązująwać będzie udział w niedziele i święta w nabożeństwach.

Uczestnicy zgromadzeni będą w zespołach od 6 do 8 pod opieką specjalnie przeszkolonych przodowników; nad całością czuwać będzie polskie kierownictwo obozu, złożone z przedwojennych pracowników YMCA o wieloletnim doświadczeniu obozowym.

Termin

Obóz trwać będzie trzy tygodnie: od dnia 7 do 28 sierpnia.

Opłaty

Koszt pobytu w obozie wynosi £12.10.0 (za okres trzech tygodni). Opłata pokrywa całkowitą należność za wyżywienie i pomieszczenie; wszyscy uczestnicy ubezpieczeni są od wypadku. Obóz zaopatruje chłopców we wszystkie potrzebne przedmioty i urządzenia, z wyjątkiem osobistych przyborów toaletowych.

Zwiedzanie Paryża

Uczestnikom obozu umożliwi się zwiedzanie Paryża oraz innych miejscowości o znaczeniu krajoznawczym i historycznym.

Zgłoszenia

Wszelką korespondencję w sprawie obozu Polskiej YMCA w Melun należy kierować pod następującym adresem:

P O L S K A Y M C A
46-47, Kensington Gardens Square,
Londyn, W.2.

Telefon: BAYswater 4678.

Termin zgłoszeń upływa z dniem 15 lipca r.b. Osoby zainteresowane (rodzice lub opiekunowie, ew. sami kandydaci na obóz) winny wypełnić formularze oraz nadesłać Postal Order na kwotę £1.0.0. (która zwrotowi nie podlega). Reszta należności za pobyt winna być wpłacona nie później niż na 7 dni przed wyjazdem uczestników na Obóz.



300040131783

WYBÓR UTWORÓW SCENICZNYCH I INSCENIZACJI

DRUKOWANYCH W „PORADNIKU KULTURALNO-OŚWIATOWYM” W LATACH 1947—54

1. Komedie, fraszki sceniczne, farsy, jednoaktówki, sensacyjne:

Budzyński Wiktor —

- Babcia winna, komedia w jednym akcie; Nr 141/2, rocznik 1952.
- Kelnerzy (z nutami); Nr 116/117, rocznik 1950.
- Villa Esperanza (Miasteczko Nadziei); Nr 125, rocznik 1951.

Conrad Joseph —

- Jutro; Nr 157/8, rocznik 1953.

Fredro Aleksander —

- Nikt mnie nie zna; Nr 152/3, rocznik 1953.
- Pierwsza lepsza czyli Nauka zbawienna; Nr 109, rocznik 1949.
- Świeczka zgasła; Nr 121/122, rocznik 1950.
- Z jakim się wdajesz, takim się stajesz; Nr 121/122, rocznik 1950.

Konopnicka Maria —

- Moja cioteczka; Nr 140, rocznik 1952.

Kuszelewska Stanisława —

- Dama kier; Nr 93, rocznik 1948.

Lisiewicz Teodozja —

- Dwa ogniwa; Nr 113/114, rocznik 1950.
- Pomyłka Urszuli; Nr 118, rocznik 1950.
- Legenda; Nr 120, rocznik 1950.
- Amator; Nr 126/127, rocznik 1951.
- Szalenie miły wieczór; Nr 146/7, rocznik 1952.
- Szklanka mleka; Nr 128/129, rocznik 1951.
- Lepiej późno, niż nigdy; Nr 135/136, rocznik 1951.

Marynowski Zdzisław —

- Operacja; Nr 92, rocznik 1948.
- Słowny człowiek; Nr 104, rocznik 1949.
- Murzyn (epizod sensacyjny); Nr 107/108, rocznik 1949.
- Wyrok (epizod dramatyczny z czasów okupacji niemieckiej); Nr 130/131, rocznik 1951.

Nowakowski Tadeusz —

- Przyczyna nieznaną; Nr 101, rocznik 1949.

Prus Bolesław —

- Drzymalski, ty chcesz się żenić! (Przeróbka sceniczna); Nr 119, rocznik 1950.

Tetmajer Kazimierz —

- Książd Piotr, opracowanie sceniczne Olgi Żeromskiej; Nr 123/124, rocznik 1950.

2. Inscenizacje obrzędowe, świąteczne i o podkładzie ludowym:

Bogusławska Anna —

- Wesele na Mazowszu (z nutami); Nr 94/95, rocznik 1948.

Cierniak Jędrzej —

- Zapusty z „podkoziółkiem”; Nr 100, rocznik 1948.

Czuchnowski Marian —

- Święcone czyli aksamitna wiązanka bazi; Nr 102, rocznik 1949.

- Anioł pasterzom mówił; Nr 110, rocznik 1949.
- Dożynki i pieśni dożynkowe (z nutami); Nr 81/82, rocznik 1947.

Jabłoński Adam —

- Jarmark, widowisko na Boże Narodzenie; Nr 133/134, rocznik 1951.

Piech S.

- Wiosna idzie; Nr 77/78, rocznik 1947.
- Sobotka i Wianki (z nutami); Nr 79/80, rocznik 1947.

Schiller Leon —

- Pastoraska (z nutami); Nr 87/88, rocznik 1947.

Turowiczówna J. —

- Stała się nam nowina; Nr 149/150, rocznik 1953.

Zawieyski Jerzy —

- Kotysanka Jezusowa (z nutami); Nr 133/134, rocznik 1951.

Żeromska Olga —

- Wybór poezji i muzyki religijnej; Nr 111/112, rocznik 1949.
- Wzór inscenizacji śpiewno-tanecznej: Choćbym ja jeździł (z nutami); Nr 132, rocznik 1951.
- Wiosna w Polsce (z nutami); Nr 77/78, rocznik 1947.

3. Inscenizacje, widowiska i słuchowiska o motywach artystyczno-literackich i historycznych:

Broncel Zdzisław —

- Matka i syn (o Stefanie Żeromskim); Nr 90, rocznik 1948.
- My wszyscy z niego (o Adamie Mickiewiczu); Nr 98/99, rocznik 1948.

Czuchnowski Marian —

- Wiosna ludów — wiosna narodów; Nr 89, rocznik 1948.
- Duch niesiony na skrzydłach wiatru (o rzeźbiarzu ludowym Janie Raku); Nr 96/97, rocznik 1948.
- Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami (o Juliuszu Słowackim); Nr 103, rocznik 1949.
- Pięć serc i jedna muzyka (o Fryderyku Szopenie); Nr 105/106, rocznik 1949.

Karpiński Ziemowit —

- Wspomnienie Warszawy; Nr 83/84, rocznik 1947.
- W 500-lecie Kazimierza Jagiellończyka; Nr 85, rocznik 1947.
- Olimpiada; Nr 91, rocznik 1948.

Nowakowski Tadeusz —

- Wspomnienie o Prusie; Nr 86, rocznik 1947.

4. Utwory sceniczne dla młodzieży:

Lisiewicz Teodozja —

- Pazur Niedźwiedzi; Nr 115, rocznik 1950.